



ANDRZEJ MULARCZYK

KATYŃ

POST
MORTEM



 SAGA
EGMONT



ANDRZEJ MULARCZYK

KATYŃ

POST
MORTEM

 SAGA
EGMONT

Andrzej Mularczyk

Katyń. Post mortem

Saga

Katyń. Post mortem

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 2007, 2021 Andrzej Mularczyk i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726878684

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

PRZESŁANIE ANDRZEJA WAJDY

Po wielu próbach i długim namyśle mam już pewność, że przyszły film o Katyniu nie może stawić sobie za cel odkrycia całej prawdy o tym wydarzeniu, gdyż została ona już dokonana zarówno w historycznym, jak i politycznym aspekcie.

Te fakty dla dzisiejszego widza stanowić mogą tylko tło wydarzeń, jakimi są ludzkie losy, gdyż tylko one pokazane na ekranie mogą poruszyć widza. Dla relacji z naszej historii jest miejsce w spisanych dziejach tamtych czasów.

Dlatego widzę mój film o Katyniu jako opowieść o Rodzinie rozłączonej na zawsze, o wielkich złudzeniach i brutalnej prawdzie katyńskiej zbrodni. Słowem, film o indywidualnym cierpieniu, które wywołuje obrazy mające znacznie większą uczuciową pojemność niż historyczne fakty.

Film ukazujący do bólu okrutną prawdę, której bohaterami nie są zamordowani oficerowie, lecz kobiety, czekające na ich powrót każdego dnia, o każdej godzinie, przeżywające nieludzką niepewność. Wierne i niezachwiane, pewne, że wystarczy otworzyć drzwi, a stanie w nich od dawna oczekiwany mężczyzna. Tragedia Katynia dotyczy tych, którzy żyją, i tych, którzy wtedy żyli.

Lata dzielą nas od katyńskiej tragedii i od niemieckiej ekshumacji w 1943 roku. Mimo polskich prac badawczych w latach dziewięćdziesiątych, a nawet mimo otwarcia, co prawda częściowego, archiwów, wciąż zbyt mało wiemy, jak wyglądała zbrodnia katyńska w kwietniu i maju 1940 roku, dokonana na podstawie decyzji podjętej przez Stalina i jego

towarzyszy z Biura Politycznego WKP(b) w Moskwie 5 marca 1940 roku.

Nic dziwnego, że przez wiele lat matka i my byliśmy przekonani, że może ojciec żyje, skoro na liście katyńskiej pojawiło się nazwisko Wajda, ale z imieniem Karol.

Matka niemal do końca życia wierzyła w powrót męża a mego ojca Jakuba Wajdy, uczestnika I wojny światowej w II Pułku Ułanów, wojny polsko-bolszewickiej, powstania śląskiego i kampanii wrześniowej 1939 roku, Kawalera Krzyża Srebrnego Orderu Virtuti Militari.

Nie chciałbym jednak, aby film był moim osobistym poszukiwaniem prawdy i zniczem zapalonym na grobie kapitana Jakuba Wajdy.

Niech opowie o cierpieniu i dramacie wielu katyńskich rodzin. O kłamstwie katyńskim, które triumfuje nad grobem Józefa Wissarionowicza Stalina, które przez pół wieku zmuszało do milczenia na ten temat ówczesnych aliantów, zachodnich sojuszników ZSRR w wojnie z Hitlerem.

Wiem, że młode pokolenie z całą świadomością i zapałem oddała się od naszej przeszłości. Zajęte teraźniejszymi sprawami, zapomina nazwy i daty, które, czy tego chcemy, czy nie, tworzą nas jako naród, z jego lękami, obawami, uzewnętrzniającymi się przy każdej politycznej okazji.

Nie tak dawno temu w jednym z telewizyjnych programów gimnazjalista zapytany, z czym kojarzy mu się 17 września, odpowiedział, że z jakimś świętem kościelnym. Może dzięki naszemu filmowi Post mortem młody człowiek zapytany o Katyń będzie potrafił odpowiedzieć coś więcej niż to, że Katyń to nazwa jakiejś miejscowości niedaleko od Smoleńska.

1

Twarde rysy zastygłe w kamieniu. Twarze wojowników o wystających kościach policzkowych nieruchome jak pośmiertne maski, lecz oczy otwarte patrzą gdzieś w dal spod nastroszonych kamiennych brwi. Kroczą pewnie jak na paradzie, nie ruszając się z miejsca. Jeden szereg za drugim. Cała armia wykopana z ziemi. Piechurzy, łucznicy, włócznicy stoją w bitewnym szyku. Trzy tysiące dwustu dziesięciu żołnierzy z terakoty...

- Jest początek XXI wieku. Ta armia maszeruje od trzeciego wieku przed naszą erą. Skoro są tak różni, każdy ma inny wyraz twarzy, inne spojrzenie, to czy każdy z nich był wykuty w kamieniu na wzór kogoś żywego? I co się potem z tymi żywymi stało?

Strumień światła bije z epidiaskopu w zawieszony na tablicy ekran. W zaciemnionej zasłonami sali twarze słuchaczy to tylko jaśniejsze plamy. Kobieta, która wyświetla zdjęcia, stoi do nich tyłem. W bijącej od ekranu poświacie można jedynie dostrzec wokół jej głowy aureolę siwych, krótko ostrzyżonych włosów. To, co mówi, nie brzmi wcale jak wykład, a raczej jak rozmowa z kimś, kto może odpowiedzieć tylko milczeniem.

Na ekranie czterdzieści rzędów wojowników armii cesarza Szy-Huang-ti. Wszyscy naturalnej wielkości, w ciężkich zbrojach, z włóczniami w rękach stoją w długim rowie w wiecznej gotowości do ataku lub obrony. Są kolorowi jak egzotyczne ptaki: mają czarne pancerze z białymi nitami, złociste guziki, ciemnoniebieskie spodnie i zielone płaszcze; włócznicy pancerze brązowe z

czerwonymi nitami, guziki pomarańczowe i czerwone płaszcze. Kolejne zdjęcie to kolejna twarz, niepodobna do poprzedniej. Zapełniają mały ekran, biją w oczy barwą strojów, a ich postacie są bardziej realne niż sylwetki tych, którzy w głębi zaciemnionej sali wpatrują się w nich jak zza grubej szyby akwarium.

- Cały teren tego grobowca zajmuje obszar dwóch kilometrów kwadratowych. - Po sposobie, w jaki Weronika przekazuje wszystkie szczegóły, można się zorientować, że nie one są dla niej najważniejsze. - W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku odsłonięto kolejny dół o zarysie prostokąta, o wymiarach dwieście dwadzieścia na sześćdziesiąt metrów. Ale podobne zagłębienia są jeszcze trzy. Może kurhan koło góry Li, to mauzoleum cesarza Szy-Huang-ti, kryje też kości prawdziwych modeli cesarskiej gwardii z terakoty? Co się odkryje w następnych dołach? Czyż biografia ludzkości nie jest także spisem zbrodni, ukrytych pod ziemią?

Dziwny wykład. Więcej w nim pytań niż wyjaśnień. Czy archeologia ma być zawsze odwrócona ku przeszłości, czy ma obowiązek wyciągać wnioski na przyszłość? Czy zbliżając się ku współczesności, możemy mówić o postępującej banalizacji śmierci? Czy można poprzestać na odkryciu tajemnic przeszłości, nie widząc w nich ostrzeżenia na dziś, jutro, pojutrze? Te pytania Weronika najpierw stawiała sobie. Kolegom z wydziału wydały się mało ważne. A słuchacze, zanurzeni teraz w półmroku, jeszcze nie wiedzą, do czego zmierza, dlaczego zamiast mówić o wykopaliskach z okresu neolitu w Górach Świętokrzyskich, w których przecież brała udział i napisała o nich pracę doktorską, robi przegląd różnych rodzajów śmierci, mówi, że archeologia ma odsłaniać wszystko, co ukryte, by przyszłość nie powtórzyła zbrodni przeszłości...

- Dziś mamy prześledzić, jak w historii śmierć traciła swój osobisty wymiar, jak ze sposobu utrwalenia śladów czyjegoś życia stawała się sposobem ukrycia zadanej potajemnie - nie jednostkom, lecz tysiącom - śmierci. Inaczej umierały ofiary składane bogom, inaczej mieszkańcy Pompei pod morzem lawy, inaczej zaś władcy, którzy chcieli przetrwać swoją śmierć, rozmiarami swych sarkofagów zmusić, by o nich pamiętano.

Na początku pokazała na ekranie zdjęcia z wykopalisk spod Pekinu, gdzie szczątki *Sinanthropusa* sprzed 500 tysięcy lat wskazywały, że był ofiarą kanibalskiej uczty. I zatrzymując na ekranie obraz tego grobu, powiedziała z naciskiem, jakby chciała przygotować słuchaczy do finału swojego wykładu.

- Kanibalizm przetrwał, choć w dwudziestym wieku zmienił swoją formę. Polega na tym, że już nie jednostki, ale całe narody pożerają inne i zasypują ich szczątki pod ziemią w nadziei, że nie zostaną odkryte przed upływem tysięcy lat...

Nasączona półmrokiem sala, przecięta strumieniem światła, płynęła jak arka przez bezmiar czasu. Jednym naciśnięciem guzika Weronika przeskakiwała z jednej epoki w drugą. Tysiąclecia trwały mgnienie, a ona, zamiast podawać szczegóły wykopalisk, powracała do myśli, że archeologia to nigdy nieskończona opowieść, bo zaczyna się u zarania dziejów i nie kończy się na dniu dzisiejszym. Tam, pod ziemią, wciąż czeka na odkrycie to, co historia chciałaby ukryć na podstawie jednostronnego kontraktu między mordercami a ofiarami: że obie strony dochowają tajemnicy...

I wtedy właśnie Weronika przywołała barwne szeregi terakotowej armii cesarza. Na kolorowym zdjęciu widać, jak z sypkiego piachu wyłania się odkryta po ramiona postać kolejnego wojownika sprzed tysięcy lat. Za nim

następna. Na krzaczastych brwiach osadziły się drobiny piasku. Piasek mają na terakotowych powiekach, na wargach. Weronika odwraca się od ekranu. Widzi w szarej pajęczynie odciętej od światłości dnia sali bielejące w ławkach twarze. Nie widzi ani ich oczu, ani ust. Czuje tylko ich obecność.

- Cesarska gwardia miała strzec pośmiertnego spokoju władcy. Nim cesarz umarł, postanowił zniszczyć pamięć o tych, co żyli przed nim i zostawili jakiś ślad w historii. Wszystko miało się zaczynać od niego i na nim kończyć. Wydał więc dekret o paleniu ksiąg i ogłosił, że kto by przechował potajemnie *Księgę pieśni* czy rozprawy różnych myślicieli, ten będzie skazany na śmierć wraz z całą rodziną. Ile razy wykonano ten wyrok? Tego się nie dowiemy.

Cmentarzysko czuwających wiecznie wojowników wygląda w dalekim ujęciu jak kolorowy tłum na wielkim placu współczesnej metropolii. Jednym naciśnięciem guzika Weronika cofa armię cesarza Szyng-Huang-ti z początku XXI wieku do trzeciego wieku przed naszą erą. Kamienne twarze znikają z ekranu. Na ich miejsce pojawia się czarno-biała magma. Jakby jasne obłoki na tle chmurnego nieba? A może to bieleją owce na tle uskoku góry?

Zapada pełna wyczekiwania cisza. Wszyscy obecni czują, że to, co za chwilę zobaczą, ma być finałem wykładu. Weronika nabiera powietrza jak pływak przed skokiem do głębokiej wody.

- Są armie nieśmiertelne i armie uśmiercone. Są armie, które strzegą czyjegoś wiecznego spoczynku, i armie, które na wieczny spoczynek zostały skazane. Jest armia, także przysypana piaskiem, znacznie liczniejsza niż ta z terakoty. W naszych czasach śmierć pozbawiona symboli, zepchnięta w głęboki dół, przysypana warstwą piachu, staje się dowodem, że do dziś zbrodnia jest jednym ze sposobów

uprawiania polityki. Zapomina się przy tym, że oprócz ofiar przysypanych piachem są jeszcze inne: ci, którzy nie pochowali swoich zmarłych i muszą z tym żyć...

Obraz na ekranie wyostrza się, czarno-biała magma o niewyraźnych konturach zamienia się w bielejący kształt czaszki. Na ekranie następne zdjęcie: czyjaś ręka wkłada ołówek w strzępiasty otwór w potylicy.

Wystarczy dziesięć gramów ołowiu... – Weronika cofa się o krok, staje tak, że strumień światła z epidiaskopu biegnie nad jej głową. Wyciąga w górę rękę. Trzyma w dwóch palcach jakiś mały przedmiot, który blikuje w świetle epidiaskopu. Słuchacze patrzą po sobie. – Jest to łuska naboju pistoletowego kaliber 7.65, firmy Geco, której używano do pistoletów Walther w Katyniu.

Mówiąc to, trzyma wciąż wyciągniętą w górę rękę. Mruży oczy w potoku ostrego światła, bijącego nad jej głową w ekran, prześwietlającego siwe włosy. Przez chwilę łuska, którą trzyma w palcach, lśni jak pierścień.

Czy pani ją tam znalazła? – pada pytanie.

Weronika nie widzi tego, kto je zadał. Kręci przecząco głową i wychodzi spod strugi światła, wyświetla na ekranie następny slajd. Rozryte trzewia ziemi ukazują dno dołów. Ziemia, otwarta jak rana, odsłania jakieś ciała. Wszyscy wpatrują się w to nieostre zdjęcie. Na skraju dołów ciemniejszą barwą zaznacza się las. Patrzą wraz z nią, ale czy widzą to samo co ona?

Czy ta łuska pochodzi stamtąd? – pyta student, niewidoczny dla niej w ciemności.

Tak – brzmi odpowiedź. – To jest moje najważniejsze wykopalisko.

Czy pani tam była? – teraz pyta jakaś dziewczyna.

Nie. Dopiero się tam wybieram.

2

Nagły skok w ciemność. Tunel nagłaśnia łomot pędzącego pociągu...

Ta podróż zaczęła się wczoraj. A może już ponad pół wieku temu? Można jechać na czyjś pogrzeb tak długo, jak długo trwa życie od młodości do starości, i nie spóźnić się. Być ciągle w tej podróży, która nie ma końca.

Łomot pędzącego w ciemności pociągu. Sztolnia tunelu wyłączyła widoczny dotąd za oknem namoknięty deszczem obraz realnego świata, jak wyłącza się ekran telewizora. I wtedy przed jej oczami pojawiły się inne obrazy.

W górze szare przedwiosenne niebo. A może błękitne? Może akurat słońce przebiło szarą opończę chmur, rozproszyło mokrą zawiesinę mgły? Las stoi w ciszy. Otacza polanę. W głębi widać jeszcze siwy nalot śniegu. Drzewa z pierwszego rzędu gdzieś obnażają swoje korzenie, spod których usunięto piach. Sterczą w powietrzu nad ogromnym dołem. Spomiędzy nich piach osypuje się cichym strumyczkiem. Zasypuje mrówki, które usiłują wspiąć się po ścianach wykopu.

Pada strzał. Brzmi jak głuche klaśnięcie. Potem następny, kilka naraz, jeden po drugim. Ptak zrywa się z gałęzi, niknie w głębi rzadkiego lasu. I znowu zapada cisza. Coś osunęło się z brzegu wyrobiska, pociągając za sobą falę osypującego się piachu. Pada w niego jakiś mały przedmiot. Z bliska można by rozpoznać łuskę naboju pistoletowego kaliber 7.65. Łuska pada na stromiznę wykopu i osuwa się w dół, aż zahacza o coś, co wystaje z głębszych warstw

piachu jak kikuty splątanych korzeni. Z bliska można by rozpoznać ludzką rękę, której zagięte palce jakby rozpaczliwie chciały się czegoś uchwycić...

Znowu zapada cisza. Cisza tak wielka, że słycać nawet szelest osypującego się piasku. Ale po chwili stamtąd, z góry, słycać zbliżający się warkot. Warkot przechodzi w groźne dudnienie, w łomot, zapowiadający coś nieuniknionego, przed czym nie można uciec.

Spomiędzy rzadkich sosen wyłania się potężny spychacz. W mgłę poranka staliniec wygląda jak taran na gąsienicach. Jego potężny, uniesiony ku górze pług zbliża się do wykopu. Opuszcza się. Im bliżej jest brzegu dołu, tym pług jest niżej, wreszcie opada i sunie po ziemi, rwąc ściółkę, pchając przed sobą zwał skotłowanej runi. Rzadka leśna trawa i szarobura ziemia mieszają się z czystym piachem, wydobytych z dna dołu. Rytmiczny łomot silnika narasta. Zwały zsuwają się w głąb dołu. Dudnienie maszyny zagłusza szelest spadającego piachu. Zsuwa się w dół jak woda po uniesieniu tamy. Niknie pod nim łuska naboju pistoletowego kaliber 7.65, niknie wystająca z piachu ręka, o którą się łuska zaczepiła. Tam na górze, gdzie nad tym dołem toczy się jakieś życie, słycać głosy. Na brzegu widać pomarszczone cholewy, z których wystają bufiaste spodnie wojskowe. Z dołu widać rękę, trzymającą niedopałek papierosa. Pstryknięciem palców ktoś rzuca ten niedokurek w dół. Jeszcze się żarzy, jeszcze niebieski dym wije się, rysując na żółtym tle wymyślne arabeski, póki kolejna lawina piachu nie przydusi go na zawsze...

Znowu słycać narastający łomot stalińca, który pcha przed sobą zwały. Piach sypie się, zasłania widok korzeni, zasłania niebo, które jest szare, a może błękitne, jeśli akurat słońce przebiło się przez zawiesinę mgły. W tej ciemności słycać tylko dudnienie maszyny...

To chyba łomot pędzącego tunelem pociągu przywołał dudnienie stalińca. Zamyka oczy i widzi, jakby z dna wykopu, postrzępione brzegi nieba, które może jest szare, jak to w kwietniu, a może błękitne, jak to bywa na wiosnę; sterczące korzenie, osuwające się zwały piachu i w końcu już tylko ciemność. Tyle widziała wykopalisk, tyle odkrytych trzewi ziemi, odkrywających swoje tajemnice, a tylko ten jeden dół pełen piachu śni się jej czasami. Dlaczego ten obraz potrafił się jej przyśnić nawet za dnia? Czuje wtedy piasek na powiekach, na piersiach, musi głęboko odetchnąć, żeby się z tego dołu wydobyć. Może gdy dotrze na miejsce, ten sen opuści ją, zostanie w tamtej ziemi? Chce zwrócić tamtym dołom to, co zostało stamtąd zabrane: ten kawałek metalu, który był dla niej najcenniejszym wykopaliskiem, choć nie przez nią znalezionym. Ma łuskę w torebce. Jest owinięta w bibułkę. Dawno postanowiła, że jej miejsce jest tam, gdzie upadła, kiedy po strzale wyrzucił ją zamek pistoletu Walther. Może kiedyś archeolodzy ją wykopią i stanie się eksponatem w muzeum śmierci. Anna by jej na to nie pozwoliła. Trzymałaby łuskę w tym drewnianym pudełku w huculskie wzory, razem z wszystkim pamiątkami po Andrzeju...

To przez nią odwlekła się ta podróż. Kiedy wreszcie można było udać się za wschodnią granicę, Anna zachorowała. „Muszę być na jego grobie. Poczekaj, Nikuś, ja wyzdrowieję. Pojedziemy, jak nabiorę sił”...

Teraz jedzie sama. Wiezie ze sobą łuskę i zarazem przekleństwo pamięci, które każą jej pamiętać także cudze pamiętanie. Tyle obrazów, tyle strzępów, tyle słów. Nie po raz pierwszy uprzytamnia sobie, że po niej nikt już tego pamiętania nie przejmie. Sztafeta się kończy. Wie dobrze, że pamięć to nie fakty, to dotyk czyjejś ręki, jedno spojrzenie, fragment melodii, a także dojmująca obecność czyjejś nieobecności.

Pociąg z westchnieniem ulgi wypada z czeluści tunelu. Do przedziału wciska się pozorna jasność pochmurnego dnia. Na szybie wagonu pęd pociągu rozmazuje krople deszczu, układa je w ukośne warkocze, które zaczynają się u góry okna i zsuwają się w dół, w to miejsce, gdzie widać w szybie odbicie twarzy Weroniki. Okryta szalem, którego końce spływają na grubą wełnianą spódnicę, patrzy na rozkiśnięte pola za oknem, ale jest to spojrzenie kogoś, kto tkwi w tej chwili w innym czasie i miejscu.

W drugim kącie przedziału dostrzega pasażera. Nogi w skarpetkach oparł na przeciwległym siedzeniu. Resztki włosów ma zaczesane do przodu. Jasne brwi wiszą nisko, jakby chciały ukryć uważne spojrzenie szarych oczu. W rękę ma gazetę, ale jej nie czyta. Jego oczy wciąż są skierowane na tę siwą kobietę, jakby chciał z jej wyglądu i zachowania wyczytać, kim jest, dokąd jedzie. Jej oczy są wciąż młode, choć sama ma koło sześćdziesięciu lat. Może mniej? A może więcej? Włosy ma krótko ostrzyżone. Ramiona okrywa czarny, długi szal. Pasażer widzi jej profil na tle zalanego deszczem okna. Obserwuje, jak kobieta sięga po leżącą obok torbę, wyjmuje z niej aparat fotograficzny i odkłada go na stolik pod oknem. Potem wyjmuje spory kalendarzyk, przegląda jego strony. Kalendarzyk musi być bardzo stary, jest poplamiony, gęsto zapisany kopiającym ołówkiem, ma pozaginane strony.

Weronika kładzie kalendarzyk na kolanie, przez chwilę przykrywa dłonią, jakby dotykała czegoś żywego. Kiedy zakłada okulary i otwiera go, jej usta bez śladu szminki poruszają się jak w bezgłośnej modlitwie. Sprawia wrażenie kogoś, kto prowadzi w milczeniu jakąś niekończącą się rozmowę, jakby czekała na jakiś głos odsłaniający tajemnicę czasu, który tak dawno już przeminął, a przecież wciąż jakby był niedokonany.

Poprawia okulary i zagląda na pożółkłe stroniczki o powyginanych rogach. Są sztywne, jakby długo leżały na mrozie. Kalendarzyk przypomina książeczkę do nabożeństwa, z którą ktoś nie rozstawał się przez lata. I ma podobny zapach starzyzny. Pozaginane rogi i rdzawe zacieki. Zapisany jest gęsto drobnym maczkiem. Ślad ołówka jest blady jak wspomnienie. To kalendarzyk z roku 1939. Weronika mogłaby z pamięci przytoczyć zapis z każdej strony. Na przykład ten z 16 listopada: *Podobno mobilizacja w Finlandii i Belgii. Żarcie coraz gorsze, ale najgorsza ta niepewność. Co z nami tutaj? I co z najbliższymi. Anna i Nika śnią mi się co noc. Co się z nimi dzieje?*

Przemyka powieki. Chce sobie przypomnieć, co właściwie działo się w jej życiu akurat tego 16 listopada? Chyba jechała wtedy z matką furmanką, była noc, wóz skrzypiał na polnej drodze, ona okutana kocem, jacyś ludzie mieli je przeprowadzić na drugą stronę rzeki, bo po tej stronie byli bolszewicy, a po tamtej była babcia Busia...

Pasażer ze swego kąta przygląda się kobiecie, która zdejmuje okulary i przemyka oczy, jakby się modliła. Wyraźnie go ciekawi. Kim jest? Dokąd jedzie?

Weronika nie potrzebuje okularów, żeby wiedzieć, co jest zapisane pod każdą datą. Zna to na pamięć. Przemyka oczy i widzi pod datą 23 listopada: *Zezwolono pisać listy do domu. Dostaniemy talony na jeden list miesięcznie. Czy zdołam w nim zawrzeć całą moją tęsknotę za wami? Jesteście tu ze mną dzień i noc...*

Nosi ten kalendarzyk w specjalnej saszetce. Stał się dla niej dowodem, że przeszłość nigdy do końca nie jest miniona i że można poznać czyjeś emocje, nawet gdy ten ktoś nie istnieje. Nawet post mortem. Teraz zdejmuje okulary, bo zna na pamięć także następny zapis. Przemyka oczy i usiłuje sobie przypomnieć brzmienie głosu ojca:

Żywimy się nadzieją, że alianci o nas nie zapomną. O ironio, trzymają nas w opuszczonym monasterze. Widać ślady po ołtarzach. Jaki Bóg się nami zaopiekuje, skoro go zewsząd wygnano? Odebrali nam brzytwy, żyletki. Noszę brodę, jak wszyscy. Wyglądamy jak banda zbójców...

Weronika przenosi teraz spojrzenie za okno, ale nie widzi wcale falistej linii lasu. Próbuje wyobrazić sobie, jak ojciec wyglądał z brodą. Czy by go poznała na ulicy? Mogłaby go minąć, nawet się nie oglądając. I nagle ta myśl, że byłby dla niej nierozpoznawalny, podobny do innych, sprawia jej niespodziewany ból. Jakby w ten sposób traciła dostęp do tej ostatniej części jego życia, w której był tak inny, tak niepodobny do siebie samego. Zamyka oczy i próbuje rozpoznać go w tłumie kilkuset jeńców stłoczonych na pryczach w obrabowanym z Boga monasterze. Może to lepiej, że nie potrafi go sobie wyobrazić jako jednego z „bandy zbójców”? Może lepiej, by go pamiętała z innego czasu. Tego dnia miała na głowie ogromną białą kokardę, żeby tatuś z daleka ją rozpoznał na trybunie. Wtedy pomachał do niej ręką...

Patrzy w zalane deszczem okno, ale nie widzi mijanych stacyjek, bo w tej chwili jest w Przemyślu i stoi na trybunie, a orkiestra gra i gra... Ma przed oczyma to, co już dawno rozplynęło się w zapomnieniu, ale przecież trwa jako jej wspomnienie. Nie może go z nikim dzielić, bo odeszli wszyscy, którzy wtedy tam byli, i nikt już jej nie powie, czy to święto pułku, czy defilada z okazji Święta Niepodległości... Bo jeśli święto pułku, to byłaby w sukience, bo to wypadło na koniec kwietnia, a jeśli była w płaszczyku, to znaczy, że zapamiętała ten obraz z 11 listopada.

Nadjeżdża wojsko. Oficerowie na koniach. Z daleka trudno rozróżnić twarze jeźdźców, maść koni. Wszystko jest w kolorze sepii, jak na starych fotografiach, ale ona widzi

wszystko w kolorze, jak widziała wtedy, kiedy miała dziewięć lat. Słyszy trąbkę, przez błonia galopuje poczet sztandarowy, konie rzucają łbami, słysząc chrzęst munsztuków, ziemia jęczy pod kopytami, majestatycznie toczą się działa, na czele oficerowie, jacy piękni, gotowi na wszystko, kolory proporczyków i otoków barwne jak na pocztówce, nawet działa błyszczą w słońcu, oficerowie z taką gracją wykonują „prezentuj broń”, a ona patrzy na to, jakby oglądała film, czuje nawet zapach żywicy i trocin. Na święto pułkowe zbudowano trybunę z pachnących, sosnowych desek i ona wraz z matką na trybunie widzą, jak ojciec nadjeżdża na swoim Wezyrze, skręca głowę w stronę trybuny i wykonuje „prezentuj broń”, klinga błyszczy w słońcu, jego koń stawia nogi jak baletnica, za nim jego działon 10. Pułku Artylerii Ciężkiej. Ziemia drży od kopyt, drży od toczących się dział. Nadjeżdża następny działon, na czele oficer, jak on się właściwie nazywał? Nie, tego nie pamięta, ale widzi zamaszysty zygzak szabli, błysk klingi, o Boże, jakie piękne to wojsko, jeszcze się uśmiechają, jeszcze nie wiedzą, co ich spotka. Konie unoszą nogi w tanecznym kłusie, błyszczą w słońcu trąby orkiestry pułkowej. Major Filipiński powtórnie przejeżdża przed trybuną, jego Wezyr szarpie głową, ojciec – tak jak przed chwilą – znowu wykonuje „prezentuj broń”, powtarza się wszystko, bo ona chce go jeszcze raz zobaczyć takim, jak na kolorowej pocztówce, więc ojciec znowu unosi szablę, by z głową zwróconą w stronę trybuny oddać honory, ona zatrzymuje ten obraz niczym stop-klatkę w filmie. I oto ojciec siedzi w siodle na gniadym koniu, głowę ma zwróconą w stronę trybuny, gdzie stoi dowódca pułku, pułkownik Bokszczanin, ale ona wie, że patrzy teraz na nią. Patrzy i uśmiecha się jak zawsze, pewnie zaraz powie: „W jakim sklepie sprzedają takie aniołki?” – bo tak zawsze mówił na jej widok...

Tego obrazu, który przypomina kolorową pocztówkę, nie jest w stanie rozmyć deszcz za oknem przedziału...

Pasażer szeleści gazetą, której wcale nie czyta, ale chce sprawiać wrażenie kogoś zajętego swoimi sprawami. A jednak ciekawi go, co sprawia, że twarz kobiety przy oknie rozjaśnia się jakimś wewnętrznym blaskiem.

Weronika porzuca ten swój film w kolorach, tyle już razy wyświetlany w pamięci, zakłada okulary i wraca do listopada 1939 roku. Pochyliła się nad kalendarzykiem, bo kolejny zapis jest lekko zamazany: *Wysiadły nerki. Wieczny chłód i te apele na podwórzu. Robię krwią. Byłe przetrzymać. Wychodzę nocą kilka razy. Całe szczęście, że mam tę szubę...*

Szuba! Taka czarna, okropnie długa, podbita futrem, które pachniało kurzem. Dziadek mówił, że jest podbita niedźwiedziem. Pamięta do dziś, że miała zapach mokrego psa. Ojciec brał ją czasem na zimowe polowania albo na jesienne manewry. Otulał nią kolana Anny, kiedy wybierali się powozem do dworku wujostwa Czyżewskich, a Nikę przykrywał nią, żeby w czasie polowania nie widziała, jak padają skoszone śrutem zające. I dziwne, że pamięta, jak w chwili pożegnania, kiedy ojciec wyruszał na wojnę, o tę szubę wybuchła awantura. Anna chciała mu ją włożyć do bagażu, ale ojciec odwieszał ją z powrotem w sieni. I wreszcie nadeszła chwila pożegnania. Weronika widzi teraz jego ostatnie spojrzenie spod daszka polowej czapki. Nie przypuszczała, że nigdy go już nie zobaczy, ale pamięta ten dojmujący lęk jak przed wielkanocną spowiedzią. Ojciec próbuje się uśmiechać, ale na jego twarzy jest jakiś cień. Spojrzenie oczu, jak zwykle prześwieconych pewnością siebie, jest jakoś dziwnie napięte. Choć wyciąga ku niej ręce, to w tym mundurze, z mapnikiem u boku jest jakiś nieprzystępny. Widzi, jak nad kołnierzem polowego munduru chodzi mu grdyka, jakby rozpaczliwie chciał

przełknąć pestkę słonecznika, która mu utkwiała w gardle. Pamięta zapach tego munduru, zapach koca, skóry i papierosów „Egipskich”. Słyszy jego słowa, które mają brzmieć dziarsko, ale są przytłumione przez hamowane wzruszenie: „Niedługo wrócę. Jak się ma takie dwie dziewczyny, nie można za długo być poza domem”. Za jego plecami stoi ordynans, puciołowaty i wesołkowaty Makary, który śmiał się ze wszystkiego, ale kiedy na rozkaz Franciszki miał uciąć łeb przeznaczonej na rosół kurze, stawał się poważny i zegnał się szerokim prawosławnym krzyżem. Tak, pamięta, że wtedy Makary trzymał w ręku walizkę. I wtedy właśnie ukazuje się babcia Busia, niosąc czarną szubę z baranym kołnierzem. Weronice ta szuba kojarzy się z chłodem, z zimą, a jest sierpień, dni są upalne, wieczory duszne, po co więc szuba? Chyba tata ma rację, że nie chce szuby wziąć: „Idę przecież na wojnę a nie na polowanie”. Jego matka nie zwraca uwagi na te protesty. Przywołuje ordynansa. „Niech Makary dołączy to do bagażu pana majora! – mówi Busia i zwraca się teraz do syna: – Wrzesień potrafi być chłodny, a ty, Jędrusiu, masz słabe nerki! – i znowu woła w ślad za oddalającym się ordynansem: – Niech Makary nie zgubi tej szuby!”.

Ordynans strzela przed Busią obcasami jak przed dowódcą i rzuca zuchowato: „Tak jest! Na wojnie wszystko może się przydać!”.

I przydała się. Może dlatego Busia potem powtarzała, że wojny prowadzą mężczyźni, ale to kobiety leczą ich rany.

Weronika przewraca kartkę. Jest na początku grudnia. Wtedy już opuściły mieszkanie w koszarach w Pikulicach, ukrywały się na wsi u Franciszki. Tam doszły wiadomości od Busi: dziadek Niki został wraz z innymi profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego aresztowany przez Niemców i wywieziony do Sachsenhausen. Nigdy stamtąd nie wrócił. A ona wraz z matką chodziły do wiejskiego kościoła modlić

się o życie ojca. Anna, namówiona przez Franciszkę, była nawet u wróżki. Od żony felczera usłyszała, że nad majorem Filipińskim krzyżują się złe prądy, ale to człowiek, który się nie poddaje. Może to był właśnie ten dzień, w którym Andrzej zapisał maczkiem: *Zgłaszam się do lazaretu. Muszę przetrwać. Żyje się nie tylko dla siebie. Na wszelki wypadek przekazałem adres do Anny i mamy porucznikowi S.*

Porucznik S. Kiedy ona go poznała, był już pułkownikiem S. Pułkownik Jarosław Selim. Przymyka oczy i widzi twarz wypalonego wojną mężczyzny. Jarosław miał taki skupiony wyraz oczu, jakby w tej chwili mierzył właśnie z karabinu do jakiegoś celu. Na każdego patrzył jak na przeciwnika, jakby się zastanawiał, czy ten ktoś jest od niego silniejszy i czy on go zdąży trafić między oczy, zanim sam zostanie trafiony. Tak, to był wzrok snajpera, który ocenia, czy już nacisnąć spust, czy jeszcze poczekać. Musiało dłużej potrwać, nim zrozumiały – Anna, Busia i Weronika – że jest to człowiek ocalony z piekła, do którego nie zamierza wracać, ale który równocześnie spłaca swoje długi. Z tym się właśnie pojawił u nich w Krakowie w 1945 roku. Pamięta to pierwsze spotkanie: stanął w progu ich mieszkania i zanim coś powiedział, przyglądał się jej czujnie spod daszka ozdobionej „wroną” polowej czapki, jakby porównywał jej twarz z tym obrazem, jaki miał w pamięci: „Panna Nika? Przepraszam, Weronika... Wyrosła pani na piękną dziewczynę”. Zanim ją ujrzał żywą, poznał ją ze zdjęcia. Od niego usłyszała, co jej ojciec myślał, co mówił, że pisał notatki w swoim kalendarzyku: „Pan major wciąż się martwił, co tam robią jego dziewczyny. Wciąż o was mówił, aż po pewnym czasie i mnie się zaczęło wydawać, że znam jego żonę i córkę tak, jakbym je naprawdę kiedyś widział”.

Zjawił się jak delegat z czasu, który Anna określała słowami „post mortem”. Jedyne, który mógł im powiedzieć

coś o Andrzeju. O żywym Andrzeju. To jemu major Filipiński pokazał zdjęcia Anny i Weroniki, to jemu major podał adres matki w Krakowie, jemu zostawił papierośnicę, kiedy wybierał się do lazaretu. W kalendarzyku występował jako porucznik S. A w ich życiu pojawił się jako pułkownik Jarosław Selim. Delegat z miejsca, z którego nikt nie wyszedł żywy. Ten człowiek teraz też żyje tylko w jej pamięci. Weronika nie ma nawet jego fotografii. Wkroczył w życie trzech kobiet tak niespodziewanie, jak z niego wyszedł. Poza pamięcią został po nim tylko jeden ślad. Dla niej cenny jak ostrze grota znalezione w wykopaliskach sprzed tysięcy lat...

Pasażer widzi, jak kobieta odwraca się od okna i jakby sobie nagle coś przypomniała, sięga po dużą, skórzaną torbę z okuciami, i z jej zakamarków wyciąga coś, co można zamknąć we wnętrzu dłoni. Odwija bibułkę. Jej długie palce odstawiają to ostrożnie na stolik, obok aparatu. Pasażer przygląda się, ale z daleka trudno mu zidentyfikować ten przedmiot. Jakiś mosiężny wisiołek? Część aparatu? Amulet?

To łuska naboju. Gdyby zajrzeć pod spód, można by wokół spłonki, na której widnieje wgłębienie od iglicy pistoletu Walther, odczytać fabryczny znak: Geco, kaliber 7.65. Łuska stoi obok aparatu fotograficznego. Drży lekko w rytm wibracji pociągu. Weronika patrzy na nią przez chwilę i nagle znowu wywołuje w pamięci twarz Jarosława. Jest czymś wzburzony, z trudem się opanowuje, po czym szukając jakiegoś ostatecznego argumentu w czasie tej gorącej dyskusji, wyciąga coś z kieszeni munduru i trzyma na dłoni. To jest właśnie łuska. Ta łuska, która teraz niezauważalnie przesuwana się ku brzegowi stolika, poruszana drganiem pociągu. – Strzelano z pistoletu Walther – mówi tonem dowódcy, który nie znosi żadnej dyskusji. – Tak wygląda łuska pistoletowego naboju firmy

Geco, kaliber 7.65! To jest amunicja produkcji niemieckiej! – Skąd pan ją ma? – spytała zaskoczona matka, wyciągając rękę po łuskę, a on nie odpowiedział na pytanie, tylko położył łuskę na wyciągniętej dłoni Anny, skłonił sztywno głowę i wyszedł z salonu. I wtedy matka powiedziała: – To dziwny człowiek. – Co to znaczy dziwny? – spytała Weronika, a Anna wzruszyła ramionami i powiedziała z wahaniem: – On jest taki jakiś... podwójny. Nie umiała wtedy wyjaśnić, co miała na myśli, a Jur skwapliwie to wykorzystał: – Tak, dobrze powiedziane, podwójny, bo ten cały *połkownik* to mi się wydaje być sprzedany ruskim na śmierć i życie.

Boże, nikt z nich wtedy nie mógł wiedzieć, że to Jur będzie tym, który go wyda na śmierć. I że to stanie się właśnie wtedy, gdy Jarosław odrzuci skorupę, w której się na początku schował, i kiedy one zrozumiały, że prawdziwym bohaterstwem jest zwyciężyć wroga, którego już wpuściło się do swojego wnętrza.

Weronika teraz patrzy za okno, ale znowu widzi tylko to, co chce pamiętać: jak Jarosław patrzy na jej matkę, jak Anna stara się nie widzieć w nim mężczyzny i robi wszystko, by świat zapomniał, że jest młodą kobietą, i jak to ona, Weronika, zaskoczyła ją własnym odkryciem, że nic nie pomogły starania Anny, by nie traktować Jarosława jak mężczyzny: „Mamo, przecież on się w tobie kocha!”.

Pasażer patrzy na odwróconą ku oknu kobietę. Co tam jest do oglądania? Dlaczego teraz lekko kiwa głową, jakby chciała tym gestem coś potwierdzić, kogoś przekonać. Jest taka zapatrzona w bezkresną przestrzeń minionego czasu, że nie zauważa, jak ustawiona na sztorc łuska w rytm drgań wagonu przesuwa się coraz bliżej skraju stolika. Pasażer patrzy jak zahipnotyzowany, jakby czekał na tę chwilę, kiedy łuska zakołysze się i spadnie...

Weronika zakłada okulary, otwiera kalendarzyk na samym początku, bo z konieczności to, co wydarzyło się w styczniu 1940 roku, musi być zapisane w rubryce stycznia 1939 roku i w ten sposób jakby wydarzenia późniejsze wpisane zostały w czas wcześniejszy i to, co było już przeżyte w poprzedzającym roku, zostało w ten sposób jakby unieważnione. Już nigdy się nie dowie, co jej ojciec przeżył 6 kwietnia 1939 roku, ale dobrze wie, co się stało tego dnia rok później: *Wyjechał następny transport. Około 300 osób. Dokąd - nie wiadomo. Czy resztę też czeka droga w nieznane?*

Koła pociągu przenoszą drgania, które przesuwiają łuskę coraz bliżej brzegu stolika. Pasażer wciąż trzyma w ręku gazetę, której nie czyta. Nie spuszcza wzroku z przesuwającej się powoli łuski. Jeszcze zostały może trzy centymetry, zanim potknie się o rant stolika i spadnie na podłogę. Czeką, czy kobieta to zauważy. Ale ona wciąż patrzy w okno.

Pasażer czeka. Jeszcze minuta, dwie, a łuska spadnie na podłogę. Nie wiadomo dlaczego obserwuje każde jej drgnięcie. Może to jedyne wydarzenie, które mu urozmaici jazdę pociągiem?

Weronika poprawia okulary, odczytuje wpis z datą 6 kwietnia: *3.30 wyjazd ze stacji Kozielsk w kierunku zachodnim. Wiozą nas więźniarkami...*

Pociąg hamuje na małej stacyjce, kiedy Weronika odczytuje zapis z 7 kwietnia: *9.45. Stoimy na stacji Jelnia.* Weronika usiłuje sobie wyobrazić, co on wtedy czuł. Co widział przez zakratowane okienko wagonu. Czy takie właśnie budynki, jakie ona widzi teraz: zamokłe ściany stacyjki w kolorze zgniłych poziomek?

Pasażer obserwuje, jak kobieta odkłada pospiesznie kalendarzyk na kolana, sięga po aparat i robi zdjęcie zalanej deszczem stacyjki.

Kiedy pociąg znowu rusza, nagłe szarpnięcie przewraca łuskę, która toczy się i obijając o metalowy rant stolika, spada na podłogę.

Pasażer zdejmuje nogi w skarpetkach z przeciwległego siedzenia, odrzuca szeleszczącą gazetę i chce podnieść łuskę, lecz Weronika jest szybsza. Pochyla się błyskawicznie i przykrywa łuskę dłonią. Pasażer zastyga w pół gestu z niepewnym uśmiechem. Kobieta patrzy mu w oczy, jakby tym spojrzeniem chciała powiedzieć: nie rusz!

Zamyka łuskę w dłoni jak coś cennego. Chowa ją do torby. Wkłada tam również kalendarzyk.

Pasażer wciąż ją obserwuje, a w jego oczach zwykła ciekawość miesza się z odcieniem podejrzliwości. Składa gazetę, przysuwa się bliżej okna, żeby spojrzeć w twarz tej kobiety, i rozpoczyna rozmowę, w której jest coś z przesłuchania.

- *Izwinitie. Wy kuda jedietie?*

- Do Smoleńska. A potem do Kozielska. A jeszcze potem do Katynia.

- *Wy fotograf?*

- *Niet.*

- *Izwinitie, wy kakoj professii?*

- Archeolog.

- *Wy turist?*

Weronika kręci przecząco głową. Wie, że to, co za chwilę powie, może dla tego człowieka nie mieć sensu, a jednak mówi to:

- *Niet, ja docz.*

3

Kiedy otworzyła oczy, nie wiedziała, która jest godzina, nie wiedziała, w jakim jest zanurzona czasie. Wszystko wokół było zasnut jakimś muślinem snu, pełnym półcieni i półświateł.

Gdyby ktoś ją spytał, gdzie jest w tej chwili, pewnie nie umiałaby odpowiedzieć, że jest w Krakowie, w mieszkaniu babci Busi, że jest kwiecień 1945 roku i że rano wreszcie pójdzie do szkoły, tak zwyczajnie, z teczką w ręku, do prawdziwego liceum, a nie jak dotąd, na tajne komplety. Żałowała, że otwierając oczy zgubiła gdzieś wątek snu, w którym leciała nad słoneczną doliną, nieważne skąd i dokąd, ważny był tylko ten lot, ważna była ta lekkość i poczucie, że wszystko jest możliwe, że nie przygnięta jej ku ziemi żaden ciężar. Mogłaby zamknąć z powrotem powieki, próbować dogonić ten sen, ale coś jej na to nie pozwala. Czuje, że w mieszkaniu coś się dzieje. Że w tym bezruchu jest jakiś ruch.

Przez pełen cieni, zagracony salon przesuwała się drobna figurka starej kobiety z wyciągniętymi niczym ślepiec rękoma. Płynęła niczym duch, w długiej koszuli, na którą miała narzuconą wełnianą lizeskę. Światło latarni, które sączyło się z za okna, zamieniło jej siwe włosy w aureolę...

Ale tego Nika nie mogła widzieć ze swego rozłożonego za szafą posłania. Ta ogromna gdańska szafa była jak barykada. Oddzielała jej kąt od reszty salonu, który teraz zmienił się w graciarnię. Odkąd milicjanci z białoczerwonymi opaskami kazali im wpuścić do jednego pokoju

kolejarską rodzinę Stawowiaków z rozbitego przez radziecką artylerię domu, musiały wynieść wszystkie meble z sypialni. Potem zjawiła się jakaś komisja, również z opaskami na rękawach płaszczy, i zalepiła drzwi do gabinetu profesora Filipińskiego paskiem papieru z dwoma wielkimi czerwonymi pieczęciami. „Pokój został zarekwirowany pod zakwaterowanie służbowe” – tak brzmiała ustna decyzja przedstawicieli władz miasta. Nie pomogły żadne protesty, nie było żadnego odwołania, gdyż oni działali w imieniu wojskowej komendantury i w interesie społecznym...

Nika nie wiedziała, co sprawia to wrażenie, że w tej zawieszynie półmroku i półciszy coś się jednak dzieje. Usłyszała skrzypienie drzwi od ich dawnej sypialni. Odwróciła głowę i przez szyby oszklonych drzwi salonu widziała przesuwający się ostrożnie cień. To na pewno ten maszynista kolejowy wyrusza do pracy. Zwykle starał się być niezauważalny, jakby nie chciał zasłużyć na miano intruza. Kiedy wychodził przed świtem do pracy, aż do drzwi szedł w skarpetkach, niosąc buty w ręku. Wkładał je pewnie dopiero za progiem, na klatce schodowej. Starał się być niezauważalny, za to jego tęga jak kopa siana żona wypełniała sobą całą kuchnię, wiecznie pełna ukrytej pretensji do całej rodziny profesora Filipińskiego, której przecież zawsze żyło się lepiej za każdej władzy! „Najlepiej za Niemców – szyderczo potakiwała Busia – bo męża wzięli na utrzymanie do Sachsenhausen, skąd już nie wrócił...”. Stawowiakowa odpowiadała, że to nie powód, by podejrzewać jej siedmioletnią córkę o wyjadanie cukru z cukierniczki pani starszej. Busia już nie wypominała przymusowym lokatorom, że po to, by kupić ten cukier, sprzedała pod Sukiennicami czarnego lisa ze szklanymi oczkami, którego kiedyś kupił jej mąż...